

## **Dariusz Karłowicz: Nie ma zamówień, nie ma sztuki**

Czy nie do pomyślenia jest, żeby Polski Kościół organizował wystawy, konkursy, wspierał produkcje filmowe i teatralne, pomagał ludziom pióra? Jeśli się tak nie stanie jedyną sztuką odnoszącą się do chrześcijaństwa będzie sztuka z chrześcijaństwem walcząca – pisał Dariusz Karłowicz.

Jakiś czas temu pisałem tekst o zorganizowanych w Poznaniu obchodach 1050-lecia chrztu Polski („Biskupi wolą Broadway”). Jak państwo pamiętają centralnym wydarzeniem artystycznym oficjalnych uroczystości był musical „Jesus Christ Superstar”. Nic z tego, co wydarzyło się w polskiej kulturze przez ponad tysiąc lat nie okazało się dość dobre, żeby uświetnić obchody. Trzeba było sięgnąć za ocean. Co było robić? Tylko Broadway! Czy była to kompromitująca wprawdzie, ale przypadkowa wpadka? Obawiam się, że nie. Wiele wskazuje na to, że ten wybór doskonale oddaje stan ducha kościelnych elit, które do sztuki (a może kultury w ogóle) odnoszą się z najwyższą obojętnością. Czasy kiedy Polski Kościół skupiał wokół siebie najwybitniejszych twórców minęły i prawdę powiedziawszy nie sądzę, by ktoś się tym szczególnie przejmował.

Po upadku komuny to, co o kulturze mówili i pisali ks. kardynał Stefan Wyszyński i Jan Paweł II uznano za nieaktualne (mówię o praktyce nie o teorii). Skoro mamy już wolność – powiadano – to obowiązki

mecenasa przejąć powinno państwo (zresztą rynek skutecznie oddzieli ziarno od plew). W normalnej rzeczywistości – zapewniano – kościoły nie są odpowiednim miejscem na wystawy malarstwa, spektakle, promocję literatury, dyskusje o kulturze. Skoro polityczna cenzura nie dławi już ekspresji artystów, to z katechetycznych salek i redakcji kościelnych pism czas przenieść się do prawdziwych galerii, teatrów, mediów.

To prawda. Model relacji należało zmienić. I to nie tylko dlatego, że sztuka chroniona przez Kościół często była najdelikatniej mówiąc nie pierwszorzędna. Niestety wylano dziecko z kąpielą. Po upadku Peerelu Kościół nie musiał już pełnić roli azylu dla sztuki, ale czy to znaczy, że musiał się jej wyrzec? Kogo z chrześcijaństwem nie łączyło wiele, a do kruchty trafił szukając przestrzeni wolności, ten nie miał żadnych powodów by zostać tu dłużej. I niejeden odszedł. Z nieskrywaną radością. Dobrze pamiętam jak ludzi Kościoła bolała niewdzięczność wielu wczorajszych podopiecznych, którzy wszem i wobec wygadywali rzeczy, których nie powstydziliby się Jerzy Urban. Pamiętam ten żal – i myślę, że ma on swój udział w odwróceniu się plecami do kultury. W „zimnej wojnie religijnej” (pierwszej totalnej wojnie kulturowej III RP) strzelano tak, żeby zabić. To nie było miłe. Czy jednak trzeba było wypraszać tych, którzy chcieli tworzyć sztukę powiązaną z kultem, zanurzoną w chrześcijaństwie, albo choćby zmagającą się z wielkimi pytaniami? Czy wolno było o nich zapomnieć?

Zbyt łatwo przyjęto, że nowy porządek polityczno-gospodarczy unieważnia obowiązki Kościoła wobec kultury. Czy ktoś pomyślał dokąd pójda chrześcijańscy twórcy? Z czego będą żyli? Kto zamówi ich dzieła? Skąd wezmą się następne pokolenia? Czy naprawdę zakładano, że Kościół zastąpią kolekcjonerzy, lewicowe galerie lub uczestniczący w

*Czasy kiedy Polski Kościół  
skupiał wokół siebie  
najwybitniejszych twórców  
minęły i prawdę  
powiedziawszy nie sądzę, by  
ktoś się tym szczególnie  
przejmował*

antychrześcijańskiej  
krucjacie marszandzi  
i kuratorzy? A może  
uznano, że wystarczy  
to, co już istnieje,  
albo, że w ogóle  
można obejść się bez  
sztuki?

Wcielenie bez ciała,  
język bez słów,

wyobraźnia bez obrazów. Czy to nie rodzaj doketyzmu? Przecież to, że „Słowo stało się ciałem”, oznacza również wcielenie w konkretną kulturę, język, wyobraźnię. Logos zawsze (nie mówię o mistykach) objawia się nam za pośrednictwem konkretnej kultury – a ta może być chrześcijańska, niechrześcijańska – ale może być i antychrześcijańska. Wizja chrześcijaństwa bez kultury, to – w najlepszym razie – rodzaj naiwności. Bardzo niebezpiecznej naiwności.

Czy nie jest tak, że Kościół – mówię o aktywności na forum – zgodził się na redukcję do roli wielkiego NGOsa od spraw społecznych? Na to idą pieniądze, tu skupia się wielki wysiłek organizacyjny. Sztuka leży odłogiem. Umiera. Owszem mamy teorię, kościelne dokumenty, uczone eseje. Tylko co z tego wynika? Czy jeden z największych Kościołów w Europie prowadzi jakikolwiek planowy mecenat? Czy zamawia dzieła u malarzy, kompozytorów, rzeźbiarzy? Szkoda gadać. W sztukach plastycznych można dziś żyć z walki z kościołem. To pewne. Czy można przeżyć, utrzymać rodzinę chcąc mu służyć? Ale cóż to może obchodzić duchownych, którzy nie wiedzą co to rachunki, nie chodzą do sklepu, nie wiedzą ile kosztuje wyprawka, co znaczy kredyt na mieszkanie!

Konieczne są zamówienia, mecenat! Sztuki bez zamówień nie było i nie będzie. Gdyby ambicją każdej diecezji było zaledwie jedno stypendium dla kompozytora muzyki sakralnej, to za dziesięć lat bylibyśmy w tej dziedzinie potęgą. Gdyby przyjąć jako założenie, że nowe kościoły zdobią wyłonione w konkursach dzieła współczesnych twórców, to malarstwo sakralne mogłoby istnieć również poza rynkiem pamiątek z Pierwszej Komunii. Czy nie do pomyślenia jest, żeby Polski Kościół organizował wystawy, konkursy, wspierał produkcje filmowe i teatralne, pomagał ludziom pióra? Jeśli się tak nie stanie jedyną sztuką odnoszącą się do chrześcijaństwa będzie sztuka z chrześcijaństwem walcząca. Czy jej językiem i obrazami zdołamy sobie i naszym dzieciom opowiedzieć historię wcielenia, śmierci i Zmartwychwstania?

*Dariusz Karłowicz*

Felieton ukazał się w tygodniku „wSieci” nr 23/2017, a także w książce „Polska jako Jason Bourne”